



BRUNO SCHULZ

Noc lipcowa



BRUNO SCHULZ

SANATORIUM POD KLEPSYDRĄ

Noc lipcowa

Noce letnie poznałem po raz pierwszy w roku mej matury, podczas wakacji. Dom nasz, przez który dzień cały przewiewały poprzez otwarte okna powiewy, szumy, połyski gorących dni letnich, zamieszkał nowy lokator, małeńkie, dąsające się, kwilące stworzonko, synek mej siostry. Sprowadził on na dom nasz pewien powrót do stosunków prymitywnych, cofnął rozwój socjologiczny do koczowniczej i haremowej atmosfery matriarchatu¹ z obozowiskiem pościeli, pieluszek, bielizny wiecznie pranej i suszonej, z niedbalstwem toalety kobiecej dążącej do obfitych obnażeń o charakterze wegetatywnie² niewinnym, z kwaskowym zapachem niemowlęstwa i piersi mlekiem nabrzmiałych.

Siostra po ciężkim porożu wyjechała do kąpeli, szwagier pojawiał się tylko w porach posiłków, a rodzice przebywali do późnej nocy w sklepie. Nad domem roztoczyła swe panowanie mamka³ dzieciątka, której ekspansywna kobiecość zwielokrotniała się jeszcze i czerpała sankcję⁴ ze swej roli matki-żywicielki. W majestacie tego dostojenstwa wyciskała ona swym szerokim i ważkim istnieniem piętno gynokracji⁵ na całym domu, będącej zarazem przewagą sytej i bujnej cielesności rozłożonej w mądrym stopniowaniu między nią samą i dwoje dziewcząt służebnych, którym każda czynność pozwalała rozwinąć, jak pawi wachlarz, całą skalę samowystarczalnej kobiecości. Na ciche kwitnienie i dojrzewanie ogrodu pełnego listnych szelestów, srebrnych lśnień i cienistych zamyśleń — odpowiadał nasz dom aromatem kobiecości i macierzyństwa unoszącym się nad białą bielizną i kwitnącym mięsem i gdy o straszliwie jaskrawej godzinie południa podnosiły się w przerażeniu wszystkie firanki u okien otwartych na przestrzał i wszystkie pieluszki rozpięte na sznurkach wstawały lśniącym szpalerem — płynęły przez ten biały alarm fularów⁶ i płócien na wskroś pierzaste nasiona, pyłki, zgubione płatki i ogród z przepływem swych światel i cieni, z wędrowką szumów i zamyśleń szedł wolno przez pokój, jak gdyby o tej godzinie Pana uniosły się wszystkie przegrody i ściany i przez świat cały przechodził w odpływie myśli i czucia dreszcz wszechobejmującej jedności.

Wieczory tego lata spędzałem w kinoteatrze miasteczka. Opuszczałem go po ostatnim przedstawieniu.

Z czarności sali kinowej, rozdartej popłochem latających światel i cieni, wchodziło się do cichego, jasnego westybulu⁷, jak z bezmiaru nocy burzliwej do zacisznej gospody.

Po fantastycznej gonitwie po wertepach filmu uspokajało się zgonione serce po ekscesach ekranu w tej poczekalni jasnej, zamkniętej ścianami od naporu wielkiej patetycznej nocy, w tej przystani bezpiecznej, gdzie czas ustał od dawna, a żarówki wypuszczały nadaremnie jałowe światło, fala po fali, w rytmie raz na zawsze ustalonym przez głuchy tupot motoru, od którego lekko drżała budka kasjerki.

Ten westybul zanurzony w nudę późnych godzin, jak poczekalnie kolejowe dawno po odejściu pociągów, zdawał się chwilami ostatecznym tłem bytu, tym, co pozostanie, gdy przeminą wszystkie zdarzenia, gdy wyczerpie się zgiełk wielości. Na wielkim kolorowym

¹matriarchat — władza kobiet, zwł. w obrębie rodziny. [przypis edytorski]

²wegetatywnie — tu: w sposób typowy dla roślin. [przypis edytorski]

³mamka — kobieta karmiąca piersią nie swoje dziecko. [przypis edytorski]

⁴sankcja — tu: uprawnienie. [przypis edytorski]

⁵gynokracja (z gr.) — władza kobiet. [przypis edytorski]

⁶fular — jedwabna chustka na szyję, noszona zamiast krawata. [przypis edytorski]

⁷westybul — reprezentacyjny przedpokój. [przypis edytorski]

afiszu Asta Nielsen⁸ ślaniała się już na zawsze z czarnym stygmatem śmiertelnym na czo-
le, raz na zawsze usta jej były otwarte w ostatnim krzyku, a oczy wyjęzione nadludzko
i ostatecznie piękne.

Kasjerka dawno powędrowała do domu. Krzątała się teraz zapewne w swym pokoiku
koło rozścielonego łóżka, które czekało na nią, jak łódka, by unieść ją między czarne la-
guny⁹ snu, w zakłamanie sennych przygód i awantur. Ta, co siedziała w budce, to tylko
powłoka jej, fantom złudny patrzący znużonymi, jaskrawo malowanymi oczyma w pustkę
światła, trzepocący bezmyślnie rzęsami dla strącenia złotego pyłu senności, śpiącego się
bez końca z lamp elektrycznych. Czasem uśmiechała się blade do sierżanta straży ognio-
wej, który sam dawno opuszczony przez swą realność stał oparty o ścianę, na zawsze
nieruchomy w swym lśniącym kasku, w jałowej świetności epoletów¹⁰, sznurów srebr-
nych i medali. Z daleka brzęczały w rytmie motoru szyby szklanych drzwi prowadzących
w późną noc lipcową, ale refleks elektrycznego pająka¹¹ oślepił szkło, negował noc, ła-
tał, jak mógł, złudzenie bezpiecznej przystani nie zagrożonej żywiołem ogromnej nocy.
W końcu przecież czar poczekalni musiał prysnąć, drzwi szklane otwierały się, czerwona
portiera¹² wzbierała tchem nocy, która nagle stawała się wszystkim.

Czy czujecie tajemny, głęboki sens tej przygody, gdy wąty i błady maturzysta wy-
chodzi przez szklane drzwi z bezpiecznej przystani sam jeden w bezmiar nocy lipcowej?
Czy przebrnie kiedyś te czarne moczary, trzęsawiska i przepaście nieskończonej nocy,
czy wylądaje jakiegos poranku w bezpiecznym porcie? Ile dziesiątek lat trwać będzie ta
czarna odyseja?

Nikt jeszcze nie napisał topografii nocy lipcowej. W geografii wewnętrznego kosmosu
te karty są nie zapisane.

Noc lipcowa! Z czym by ją porównać, jak opisać? Czy porównam ją do wnętrza
ogromnej czarnej róży nakrywającej nas snem stokrotnym tysiąca aksamitnych płatków?
Wiatr nocny rozdmuchuje do głębi jej puszystość i na dnie wonnym dosięga nas spoj-
rzenie gwiazd.

Czy porównam ją do czarnego firmamentu¹³ naszych przymkniętych powiek, pełnego
wędrujących pyłów, białego maku gwiazd, rakiet i meteorów?

A może porównać ją do długiego jak świat, nocnego pociągu, jadącego nieskończo-
nym czarnym tunelem? Iść przez noc lipcową, to przedzierać się z trudem z wagonu do
wagonu, pomiędzy sennymi pasażerami, wśród ciasnych korytarzy, dusznych przedziałów
i krzyżujących się przeciągów.

Noc lipcowa! Tajemny fluid¹⁴ mroku, żywa, czujna i ruchliwa materia ciemności, nie-
ustannie kształtująca coś z chaosu i każdy kształt natychmiast zarzucająca! Budulec czarny
piętrzący dookoła sennego wędrowca pieczary, sklepienia, wnęki i nyże¹⁵! Jak natrętny
gadula towarzyszy ona samotnemu wędrowcowi, zamykając go w kręgu swych widzia-
deł, niezmordowana w wymyślaniu, bredzeniu, fantazjowaniu — halucynując przed nim
gwiazdne dale, białe drogi mleczne, labirynty nieskończonych koloseów i forów. Po-
wietrze nocy, ten czamy Proteusz¹⁶ formujący dla zabawy aksamitne zgęszczenia, pasma
jaśminowej woni, kaskady ozonu, nagle bezpowietrzne głusze rosnące jak czarne banie
w nieskończoność, potworne winogrona ciemności, wezbrane ciemnym sokiem. Przepy-
cham się wśród tych ciasnych framug¹⁷, pochylam głowę pod te łuki i sklepienia nisko
nawisie i oto nagle sufit urywa się, z gwiazdnym westchnieniem otwiera się na chwilę
kopuła bezdenna, aby wnet zaprowadzić mnie znów między ciasne ściany, przejścia i fra-
mugi. W tych zaciszach bez tchu, w tych zatokach ciemności stoją jeszcze urywki rozmów
zostawione przez nocnych wędrowców, fragmenty napisów na plakatach, zgubione tak-

⁸Asta Nielsen (1881–1972) — duńska gwiazda kina niemego. [przypis edytorski]

⁹laguna — płytka zatoka odcięta od otwartego morza. [przypis edytorski]

¹⁰epolety — sukienne naramienniki, element munduru wojskowego. [przypis edytorski]

¹¹pająk — rozgałęziony żyrandol. [przypis edytorski]

¹²portiera — zasłona z grubego materiału, umieszczana przy drzwiach. [przypis edytorski]

¹³firmament — sklepienie niebieskie, niebo, zwł. rozgwieżdżone. [przypis edytorski]

¹⁴fluid — energia psychiczna. [przypis edytorski]

¹⁵nyża (daw.) — nisza, wgłębienie. [przypis edytorski]

¹⁶Proteusz (mit. gr.) — syn Posejdona, posiadający zdolność przybierania różnych kształtów. [przypis edytorski]

¹⁷framuga — rama, do której umocowane jest okno bądź skrzydło drzwi. [przypis edytorski]

ty śmiechu, pasma szeptów, których powiew nocy nie rozprószył. Czasem zamyka mnie noc, jakby w ciasnym pokoju bez wyjścia. Opanowuje mnie senna, nie zdaję sobie sprawy, czy nogi idą jeszcze, czy też od dawna spoczywam w tym hotelowym pokoiku nocy. Ale oto czuję aksamitny gorący pocałunek zgubiony w przestrzeni przez usta pachnące, otwierają się jakieś żaluzje, przekraczam wysokim krokiem parapet okna i wędruję dalej pod parabolami gwiazd spadających. Z labiryntu nocy wychodzą dwaj wędrowcy. Plotą wspólnie, wyciągają z ciemności jakiś długi, beznadziejny warkocz rozmowy. Stuka monotonicznie parasol jednego z nich o bruk (takie parasole nosi się na deszcz gwiazd i meteorów), wałęsają się, jak pijane, wielkie głowy w baniastych melonikach. Kiedy indziej zatrzymuje mnie przez chwilę konspiracyjne spojrzenie czarnego zezowatego oka i wielka koścista dłoń o wydatnych węzłach sztykuta przez noc na szczudle laski, zaciśnięta dookoła rękojeści z rogu jeleniego (w takich laskach bywają ukryte długie, cienkie szpady).

Wreszcie na końcu miasta noc rezygnuje ze swych igraszek, zrzuca zasłonę, odsłania swą poważną i wieczną twarz. Już nie zabudowuje nas w złudnym labiryncie halucynacyj i majaków, otwiera przed nami gwiazdzistą swą wieczność. Firmament rośnie w nieskończoność, gwiazdozbiory płoną w swej świetności w pozycjach odwiecznych, rysując magiczne figury na niebie, jak gdyby chciały coś zwiastować, obwieścić coś ostatecznego swym przeraźliwym milczeniem. Od migotania dalekich tych światów płynie rechot żab, srebrny gwar gwiazdny. Lipcowe niebiosa sięją niesłyszalny mak meteorów, wsiąkający cicho w wszechświat.

O którejś godzinie nocy — konstelacje śniły na niebie swój sen odwieczny — znalazłem się znowu na mojej ulicy. Jakaś gwiazda stała u jej wylotu, pachnąc obcą wonią. Przeciąg szedł przez nią jak przez ciemny korytarz, gdy otwierałem bramę domu. W stołowym pokoju jeszcze świeciło się, kopciły cztery świece w brązowym kandelabrze. Szwagra jeszcze nie było. Od czasu wyjazdu siostry spóźniał się na kolację, przychodził późną nocą. Budząc się ze snu, widziałem go nieraz rozbierającego się ze wzrokiem tępy i zamyślnym. Potem gasił świecę, rozbierał się do naga i leżał długo bezsenny na chłodnym łóżku. Nie od razu zstępował nań niespokojny półsen, obezwładniający stopniowo jego wielkie ciało. Jeszcze mruczał coś, sapał, wzdychał ciężko, szamotał się z jakimś ciężarem, który przywalał mu piersi. Bywało czasem, że wybuchał nagle cichym, suchym szlochem. Przestraszony pytałem w ciemności: — Co ci jest, Karolu? — Ale on tymczasem już wędrował dalej na swej ciężkiej drodze sennej, pnąc się pracowicie na jakąś stromą górę chrapania.

Przez otwarte okno oddychała noc w wolnych pulsach. W jej wielkiej, nie uformowanej masie przelewał się chłodny pachnący fluid, w ciemnych jej bryłach rozluźniały się spojenia, przeciekały wąskie strużki woni. Martwa materia ciemności szukała wyzwolenia w natchnionych wzlotach woni jaśminowej, ale nieobjęte masy w głębi nocy leżały wciąż jeszcze nie wyzwolone i martwe.

Szpara drzwi do przyległego pokoju świeciła złotą struną, dźwięczną i czułą jak sen niemowlęcia, które tam kaprysiło w kołysce. Stamtąd dochodził szczebiot pieszczot, idylla¹⁸ między mamką i dzieckiem, sielanka pierwszej miłości, cierpień i dąsów miłosnych, napierana zewsząd przez demony nocy, które zagęszczały ciemność za oknem, zwabione tą ciepłą iskierką życia, które tam tlało.

Z drugiej strony przytykał pokój pusty i ciemny do naszego pokoju, a za nim sypialnia rodziców. Natężając ucho, słyszałem, jak ojciec mój uwisły u piersi snu dawał się ponosić w ekstazie w jego napowietrzne szlaki, całą istotą oddany temu dalekiemu lotowi. Śpiewne jego i dalekie chrapanie opowiadało dzieje tej wędrowki po niewiadomych wertepach snu.

Tak wchodziły dusze powoli w ciemne apohelium¹⁹, w bezsłoneczną stronę życia, której kształtów nikt żywy nie ujrzał. Leżeli jak umarli, rżąc strasznie i płacząc, podczas gdy czarne zaćmienie leżało głuchym ołowiem na ich duchu. A gdy mijali wreszcie czarny Nadir²⁰, sam najgłębszy Orkus²¹ dusz, gdy przewalczyli się w śmiertelnym pocie przez

¹⁸idylla — sielanka. [przypis edytorski]

¹⁹apohelium — najbardziej oddalony od słońca punkt orbity. [przypis edytorski]

²⁰Nadir — kierunek sfery niebieskiej przeciwległy do zenitu. [przypis edytorski]

²¹Orkus (mit. rzym.) — demon śmierci a. kraina umarłych. [przypis edytorski]

jego przedziwne przylądki, zaczynały znów miechy płuc zbierać inną melodią, rosnąc natchnionym chrapaniem ku świtowi.

Głucha, gęsta ciemność tłoczyła ziemię, cielska jej leżały zabite jak czarne, bezwładne bydłeta z wywalonymi ozorami, lejąc ślinę z bezsilnych pysków. Ale jakaś inna woń, jakiś inny kolor ciemności zwiastował dalekie zbliżanie się świtu. Od zatrutych fermentów nowego dnia puchła ciemność, rosło jak na drożdżach fantastyczne jej ciasto, bujało w kształty obłędu, przelewało się przez wszystkie koryta i dzieże²², kisło w pośpiechu, w panice, ażeby świt nie zaskoczył jej na tej rozpustnej płodności i nie przygwoździł na wieki tych wybujałości chorych, tych potwornych dzieci samoródtwa, wyrosłych z cebrów²³ chlebowych nocy, jak demony kąpiące się parami w dziecinnych wanienkach. To jest chwila, kiedy na najtrzeźwiejszą, na bezsenną głowę splywa przez moment zamroka senna. Chorzy, bardzo smutni i rozdarci, mają wtedy chwilę ulgi. Kto wie, jak długo trwa ten moment, przez który noc zapuszcza kurtynę na to, co się dzieje w jej głębi, ale ten krótki antrakt wystarczy do przestawienia sceny, do usunięcia ogromnej aparatury, do zlikwidowania wielkiej imprezy nocy z całą jej ciemną, fantastyczną pompą. Budzisz się, przestraszony, z uczuciem, żeś coś zapóźnił i w samej rzeczy widzisz na horyzoncie jasną smugę świtu i czarną konsolidującą się masę ziemi.

Noc

²²*dzieża* — drewniane naczynie do wyrabiania ciasta. [przypis edytorski]

²³*ceber* — drewniane wiadro. [przypis edytorski]

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/schulz-sanatorium-pod-klepsydry-noc-lipcowe>

Tekst opracowany na podstawie: Bruno Schulz, Sklepy cynamonowe; Sanatorium Pod Klepsydrą, Biblioteka Klasyki, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1996

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aneta Rawska, Marta Niedziałkowska, Paweł Kozioł.

Okładka na podstawie: Double--M@Flickr, CC BY 2.0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.